ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 24 lipca 1909 r. № 30

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

19

Powieść historyczna.

Nareszcie zegar wydzwonił dziewiątą godzinę, nareszcie w sali jadalnej zachrobotał głos bakalarza, strofującego chichoczącą dziatwę, nareszcie kredencerz zwrócił swe ociężałe kroki w stronę komnatki Juliusza, aby go do śniadania przywołać... Chociaż nie — zapomniał widocznie, bo nie zboczył, jeno idzie wprost, nadchodzi ku niej...

Pani Grużewska postąpiła kilka kroków i, nim kredencerz zapukać zdążył, stanęła przed nim uprzedziła zapowiedź.

— Śniadanie?... Idę. Ale zapomniałeś o panu Juliuszu!

Kredencerz głowę wtulił w ramiona i wyjąkał z trudem:

— Panicz wyjechał.

Pani Grużewska rozwarła szeroko oczy.

— Pan Juliusz?

— Tak, dziś nad ranem.

— Do Wilna? W okolice? Na folwarki?

Kredencerz strzepnął bezradnie rękoma.

— Nie wiadomo... samotrzeć, wierzchem.

Pani Grużewska odetchnęła domysłem, że Juliusz na jakowąś wycieczkę niedaleką się wybrał. Lecz ten domysł pogodny trwał krótko. Szczegóły, dotyczące nagłego wyjazdu Juliusza, nic dobrego nie wróżyły.

Juliusz aż do drugiego kura rozmawiał w swej komnatce z Jawtokiem, poczem wyprowadził sam komisarza za bramę i bodaj czy nie był u Rydwina, choć to nie pewne. Gospodyni klęła się, iż, idąc do udoju, widziała, jak Juliusz od rezydenta wychodził; stójka zaś nocny upierał się, że Juliusz pożegnał się z komisarzem jeszcze przed bramą i wrócił do dwora. Tak czy owak, dość, że zaraz po zasypaniu koniom obroków Juliusz zjawił się w stajni. Tam bułaną osiodłał, sam namierzył sobie owsa do sakw, zaśmiał się łaskawie do skonfundowanych obecnością panicza forysiów, kożuszka obciągnął, rękawice nałożył, zaczem, jak stał w zagrodzie, wskoczył na koń, krzyknął: „z Bogiem, chłopcy!“ i chlusnął we wrota tak gwałtownie, że dziw, iż głową w przecznicę nie uderzył.

Z tych opowiadań wynikało, że jeden Jawtok mógł coś wiedzieć o nagłej wyprawie Juliusza. Posłano więc poń do miasteczka, ale stąd niebawem nadeszła odpowiedź, że pani komisarzyna od dwóch miesięcy męża nie oglądała, że co dnia go się spodziewa... Za tą zaś nowiną nadeszła inna. Geometra był w Kielmach, w karczmie się zatrzymał, do dwora poszedł, wrócił nad ranem, tłómaczył karczmarzowi, że pilna komisya zniewala go do natychmiastowego odjazdu, więc po nocy nie chce gwałtu żonie przyczyniać; dalej prawił mnóstwo rzeczy o zbliżaniu się dobrych czasów, wreszcie piwa grzanego wypił, i gdy się rozwidniło, odjechał.

Może, może komisarz ruszył razem z Juliuszem? Nie podobna. Jawtok skręcił, jakby na Użwentę, a młodego dziedzica widziano na drodze do Bejsagoły.

W ten zamęt niezrozumiałych wieści padł list Juliusza, pozostawiony na sepeciku. List do matki, przepraszający ją za odjazd bez pożegnania, mówiący zagmatwanie o wielkich sprawach, które go do podróży niewolą, a zakończony wyraźnem lekceważeniem terminu gubernatorskiego i zapowiedzią, że na święta Bożego Narodzenia wróci niezawodnie.

Pani Grużewska łzami się zalała na to oczywiste szaleństwo syna.

Wyjechał, uciekł z domu nie wiadomo dokąd, po nocy, bez słowa gorętszego, bez opowiedzenia się, bez zwierzenia się matce. Lada urojenia starczyło, aby wszyst-

ko, wszystko na wtóre miejsce zeszło. Ksiądz Zalimowicz błaga, aby Juliusz przybywał w tej chwili do Wilna—a jemu co? Nałożą sekwestr za niestawienie się, skażą ciężko, że potem lata zejdą, zanim się z opresyi dobędzie, zanim banitą być przestanie! I los zwichnięty, i zamysły matczyne na marne, na marne.

— Pan Rydwin jegomość! — zameldował uroczyście kredencerz.

Pani Grużewska spojrzała przed się zamglonemi oczyma. Lecz od proga taka ku niej światłość zagrała, że w pierwszym momencie ani wzroku oderwać, ani pojąć. Rydwin byłże to—nie Rydwin?

Granatowy kontusz, karmazynowy żupan, pas srebrzysty, karabela na czerwonych rapciach, buty żółte, czapa biała, barankiem brzeżona, w tył głowy zsunięta. A z pod czapy czoło łunami jasności bijące, a z pod marsem przeciętych, szczotkowatych brwi dwoje rozognionych źrenic.

Mógłże to być Rydwin? Prawda, jego to była barwa ulubiona, wojewódzka. W tym stroju na weselu pani Grużewskiej polskiego wiódł, w tym stroju pamiętała go po raz ostatni, gdy ze szlachtą Napolionowi jechał się prezentować. Ale skądżeby dziś mocy wziął do tak dzielnej postawy, skąd prężności, skąd tytułu do tak solennego wystąpienia i dzisiaj?..

Lecz Rydwin w lot odgadł panią Grużewską.

— Furda z synalem! Niema turbacyi!—zawołał ochoczo.

Pani Grużewska porwała się do rezydenta:

— Powiadasz jegomość!?.. Więc Juliusz?!. Mów!

Rydwin rękę na karabeli zaparł:

— Furda z synalem! Rewolucya w Warszawie, mościa pani!

VI.

Pani podkomorzyna Zybergowa aż rozśmiała się z ukontentowania, gdy jej marszałek zameldował, że pocztylion przyjechał z listami.

Listy na początku grudnia! Dziw nad dziwy! Kra na Dźwinie, rozciecz z gołoledzią spierają się na drogach, do Kirupia z Liksny przedostać się nie można, a tu listy. Dwa dla Emilki, a jeden tylko dla podkomorzyny, lecz czterykroć zamaszystszy.

Pani podkomorzyna poprawiła się na fotelu i kazała akta sobie podać i świecznik zapalić. Żal jej było skracać szarą godzinę, żal rozstawać się z migotliwemi blaskami, idącemi z prychających na kominku głowni, ale ciekawość przemogła. I nie żadna błaha ciekawość, jeno pragnienie dobycia się z głuszy, na którą pani podkomorzyna, a z nią wszyscy mieszkańcy liksnoskiego pałacu, byli dwa razy do roku, na jesieni i na wiosnę, skazani, pragnienie odświeżenia myśli nowinami, pragnienie dowiedzenia się, co u najbliższych, co u rodzonych.

Nie darmo trzy razy pod rząd miała wczoraj pamfila. Pamfil potrójny zawsze siurpryzę wróży.

Wniesiono światło. Pani podkomorzyna spojrzała na pieczęć do niej adresowanego pisma i skinęła mu przyjaźnie.

— Od Dowgiałłowej!

Poczem rzuciła okiem na listy dla Emilii. Pierwszy z nich sam nastręczył się podkomorzynie „Trzema kretami“ Maryni Mohlówny, zato drugi, zmięty nieco, jakby ukryć chciał w bladym wosku swą cyfrę, bo ledwie zygzakiem ją znaczył.

Pani podkomorzyna baczniej przyjrzała się listowi, namarszczyła się i odrzuciła go na tacę z niechęcią.

List ten na chwilę pogrążył staruszkę w zadumę, lecz pierwszy, klejnot Dowgiałłów noszący, wnet dobył ją smutnemu zapatrzeniu.

Chude, zeschłe palce podkomorzyny ujęły za list. Pieczęć złamała się. Papier rozprostował się z szelestem.

Oblicze pani podkomorzyny pogodą spłynęło.

— Juścić od Dowgiałłowej z Siesik! Pisze dwudziestego ósmego novembra, a dziś ledwie piąty czy siódmy december. Więc raptem tydzień temu! Osobliwość z tą pocztą. Na taki czas z Siesik, więc prawie z Wiłkomierza. I list dopiero. Dominikowa zawsze miała przedziwny jeniusz do stylizowania, lecz dziś prawdziwie przeszła samą siebie, żeby tyle napisać.

Pani podkomorzyna jeszcze kilka uwag zrobiła, aż, porwana treścią listu, zatopiła się w czytaniu.

Mnóstwo bo wiadomości słała podkomorzynie pani Dowgiałłowa. I nie z samych Siesik, lecz i z Dowboryszek, i z Hermaniszek i z Wiłkomierza, z całego świata. A wszystko wiadomości dobre. Tam było niedomaganie, ówdzie taka czy inna turbacya, ale już dobrze. Minęło, przeszło. — Pan Jan Weyssenhoff smali koperczaki do Helenki, a pani Piotuch-Kublicka zagięła parol, aby syna swego Justyna z Kostusią ożenić. Złote serce u tej Dowgiałłowej i w nim także. Poczciwi Krzysztofowie Platerowie radują się z nieba córce, która młodszemu rodzeństwu sieroctwo tak potrafi łagodzić. Helenka weźmie w posagu Pokrewnie a Kostusia kapitał, bo Piotuchy mają sami ziemi do syta, a Szopów musi wypaść na młodego Krzyszka. Tylko, że za młode, więc z pół roku wypadnie zbałamucić! — Pół roku, cale zbyteczna mitręga. Nie wymawiając, przecież Marysia, gdy za Dominika wychodziła, miała ledwie szesnaście lat. I na zdrowie jej poszło. Pół roku, — szkoda, szkoda. Co? Józiowa ma bliźnięta! Patrzcie, Sołtanówna się spisała,—dwóch synów! Trzeba natychmiast do Krasławia posłać, bo i oni, za Dźwiną pokutując, gotowi nie wiedzieć nic o własnych wnukach. — Kossakowskim urodziła się córka.—Krzyszek Plater precz z Krzemieńca listy pisze, że mu się służba wojskowa uprzykrzyła.—Generał Weyssenhoff wrócił ze swego poselstwa do dworów zagranicznych i otrzymał w darze *une boite à chiffre*. Prezent bardzo piękny, ale szkoda, że tylko pudełko.

DCN.

MARZYCIEL.

Raciborski się obraził, nadział siwą czapę na bakier, podał mu dwa palce i wyszedł, trzaskając drzwiami, aż Józio wyprowadzony z równowagi, krzyknął za nim:

— Ani nigdy! Pański dziad! Szlachecka resztka! mruczał, zabierając się do robienia kasy, ale tak mu wyjątkowo nie szło, że długie chwile wpatrywał się w kolumny cyfr, nie mogąc odróżnić jednej od drugiej. Naprożno usiłował skupić uwagę i przecierał oczy—jakaś szara, ciężka mgła przysłaniała mu świat a całego przejmowało dziwne odrętwienie i taka bezgraniczna apatya, że nawet się nie zdziwił, ni poruszył, gdy o samym zmierzchu zjawiła się przed nim Frania. Była ubrana jak do drogi, z zawiniątkiem okręconem w gazetę pod pachą i w męskich, głębokich kaloszach. Nie zauważył tego, jak i nie spostrzegł jej wzburzenia i zapłakanych oczów.

— Wybierasz się na spacer?— spytał jak najspokojniej.

— Akurat mi w głowie spacery! Wyjeżdżam!

— Cóż cię znowu ugryzło?

— Sprzykrzyło mi się takie dulczenie w pustem mieszkaniu i wyjeżdżam! Nawet piesby się urwał z łańcucha! Odwróciła się nagle od niego udając że patrzy na przechodzącą rezerwę.

— Trzeba się było czem zająć. Miała książki.

— Ja się tam nie rozumiem na pańskich książkach. Nie przy mnie pisane.

— Siadaj. Do pośpiesznego jeszcze z pół godziny. Jadłaś obiad?

— Nażarłam się jak cztery dziewki!

Próbowała się zaśmiać, ale nagle porwał ją taki gwałtowny kaszel aż bezwładnie opadła na kanapkę.

— Jesteś strasznie zaziębiona. Szepnął ze współczuciem.

— A bo ta małpa Magdzia tak wczoraj napaliła w piecu, że musiałam okna otwierać żeby się nie uwędzić. Do reszty się doziębiłam.

Nie przyznała się, że to całonocne wyglądanie na niego tak jej pogorszyło.

— Musisz się koniecznie leczyć. Dam ci bilet do naszego doktora.

— A niech mnie już raz cholera zatłucze! wykrzyknęła namiętnie.

— Gdzie się wybierasz?

Podniósł na nią niewidzące oczy.

— A gdzie mnie oczy poniosą! Mało to na mnie czeka facetów...

Urwała, oczekując ze drżeniem, że może ją zatrzyma u siebie. Nie odezwał się jednak, myśląc z pewną ulgą o jej odjeździe, gdyż nudziła go i krępowała.

— Pojadę do swoich stałych gości. Dopiero po pierwszym, to jeszcze mają hopki. A nim obrobię wszystkie stacye do samej granicy, tylu przecież facetów... A nie każdy taki nieczuły, jak pan, nie każdy!—dokończyła już przez rzęsiste łzy i wtuliwszy głowę w róg kanapy, wybuchnęła bolesnem łkaniem.

— Nie becz. Jeszcze kto wejdzie i powiedzą, że cię skrzywdziłem!—odezwał się ostro.

— Nie płaczę, tylko ścisnęło mnie coś pod piersiami — tłómaczyła się śpiesznie wycierając oczy; i gdy otworzył kasę i zaczął sprzedawać bilety na pośpieszny, usiadła w kątku za kasą ogniotrwałą, i wpatrywała się w niego z niewypowiedzianą czułością.

— Weź sobie na drogę papierosów, są w szufladzie;—rzucił przez ramię.

Nie poruszyła się z miejsca i obcierając łzy płynące po twarzy, patrzała wciąż na niego jakby chcąc go zapamiętac na wieki.

— A mieliśmy razem pojechać na bibę do Mikada!—odezwał się znowu.

Posługacz zapalił lampy i odszedł. Milczenie zaległo ciężkie i długie. Słychać było tylko brzęk pieniędzy, gorączkowe żądania pasażerów i stuk stemplowanych biletów, a niekiedy ciche westchnienia Frani.

Pociąg wpadł na stacyę gdy Józio odwrócił się do niej z przypomnieniem.

— Ostrożnie, Franiu! Jeszcze który posłyszy, namówi drugich i zastrajkują.

— A niech ich wszystkich jasna cholera wytłucze! — bryznęła, nie mogąc się już powstrzymać.

— Cóż ci to zrobiłem złego?

— Pan! pan! pan!..—powtarzała coraz ciszej, bo słowa więzły w ściśniętem gardle, a piersiami zaszarpał taki straszny ból, że ledwie oddychała, ledwie jej serce nie pękło.

— Może nawet najwięcej, najwięcej!—wykrztusiła w końcu.

Spojrzał na nią zdziwiony, i nierozumiejąc, co się z nią dzieje, rzekł lekceważąco:

— Gniew szkodzi urodzie!

— Bo przez pana spotkał mnie taki wstyd... — ciągnęła ledwie dosłyszalnie, mocując się ze sobą, żeby zmilczeć i nie wybuchnąć jakąś bolesną skargą.

— Przeze mnie? Co ty pleciesz! Kiedy? Gdzie? — zapytał ostro, zbliżając się do niej.

Byłaby wypowiedziała wszystko, ale pochwycił ją długi, męczący kaszel, a po chwili wraz z nim przeszło rozdrażnienie, więc tylko zaczęła jąkać:

— W złości to człowiek sam nie wie, co mówi...

— To niechże Frania pamięta, co i do kogo się mówi! — wyrzekł surowo i odszedł do okienka.

Zawisło pomiędzy nimi dosyć długie i przykre milczenie. Zjawił się posługacz, pozapalał lampy i zniknął. Józio coraz częściej i swarliwiej użerał się z pasażerami i z taką pasyą ciskał pieniądze do kobiałki, aż się rozsypywały na podłogę. Frania, nieco już uspokojona, wyciągnęła z torebki lusterko, ołówki, puder w papierku, i wyskubawszy z własnego paletka kłaczek brudnej waty, bardzo staran-

nie przypudrowała sobie twarz spłakaną, podczerniła zaczerwienione oczy, nakarminowała sinawe usta, poprawiła włosy, wzięła na zapas papierosów i siadła trochę z boku od pasażerskich oczów, ciekawie wciskających się do pokoju.

Józio spoglądał na nią niekiedy, ale tak, jakby jej nie spostrzegając, a z jej złotawych rzęs często spadały grube, ciężkie krople i oczy miała pełne wilgotnych blasków; patrzała w niego jak skopany psiak, wiernie, żebrząco i z jakąś cichą i lękliwą miłością.

Dopiero, gdy pośpieszny wtoczył się na stacyę, Józio się odezwał, zamykając kasę:

— Franiu, już czas. Może ci dać bilet?

— Zawsze jeżdżę na gapę... przecież mnie znają.

Zbierała się powoli, czekając ze drżeniem i jakąś rozpaczną nadzieją, że może powie: zostań Franiu!

Ale się nie odezwał, wcisnął jej za rękawiczkę jakieś pieniądze i pomagał się ubierać. Pierwszy dzwonek zahuczał na peronie i Frania tak się nagle rozdygotała, że nie mogła zawiązać woalki, trzęsła się cała jak w febrze, złote rzęsy biły, jakby skrzydła śmiertelnie zranionego ptaka, oczy miała wprost nieprzytomne, a na usta cisnęła się jakaś głęboka, serdeczna prośba, ale potrafiła tylko wyjąkać:

— U pana Mikada bywa wesoło... Przyjedzie pan... co? Przyjedzie?

— Naturalnie. Kolega przecież, musimy go pożegnać...

DCN.

A. Lange.

ATYLLA.

Fragment z tragedyi.

(Na dworze Atylli byli liczni zakładnicy: *Hagen*, książę gundzki; *Walgierz* z Chrobacyi, zwany Wdałym; *Heligunda*, księżna cymbryjska, wreszcie *Oldrzych* z Bojemii. Ci różnemi czasy uciekli potajemnie. Pierwszy zniknął Hagen: pragnie on się dobrać do złota Nibelungów—i oto w noc świętojańską poszukuje tajemnicy, by je uzyskać. Heligunda miała zostać żoną Atylli, ale kochając Walgierza, odpycha tamtego. Korzystając z uczty i powszechnego pijaństwa, kochankowie uciekają. Tymczasem Oldrzych, również Heligundę kochający, zauważywszy ich zniknięcie, w pogoń ruszył za nimi. Spotykają się nad brzegiem Renu. Dla wyjaśnienia musimy dodać, że Atylla posiadał miecz zaczarowany, który miał mu dać panowanie nad światem).

SCENA I.

(Noc. Brzegi Renu. W głębi ciemna puszcza. U brzegu rzeki siedzą dwaj strażnicy, starszy i młodszy. Na przodzie sceny część lasu: cienisty dąb, murawa).

PIERWSZY. Więc nie puszczać nikogo. Przewóz zakazany.

DRUGI. Dziwne nieraz zachcenia mają nasze pany.

PIERWSZY. Ale płacą.

DRUGI. Ba, złotem. A cesarskie głowy
Na złocie.

PIERWSZY. Cóż dziwnego? Dziś tu niby łowy—
Po drugiej stronie rzeki. Zatem chcą książęta,
By ta puszcza dla innych była dziś zamknięta.

DRUGI. Oj, niemądry-ś ty człowiek! Pod borów osłoną
Żyjesz—i od ich liści głowę masz zieloną.

PIERWSZY. Niby co?

DRUGI. To ty niewiesz, jakie polowanie
Burgundy czynią dzisia w noc o świętym Janie?

PIERWSZY. To prawda! Dzisiaj skarby wszystkie są przejrzyste
Oczom ludzkim!

DRUGI. A dyć tak! W Renu fale czyste
Spójrz! Jak tam świeci na dnie.

PIERWSZY. To blaski miesiąca!

DRUGI. Dla ciemnych. Lecz kto widzi, temu gorejąca
Łuna szczerego złota w fali tej zaświeci.

PIERWSZY. Pamiętam, coś mój rodzic, gdy chciał strzyć dzieci,
Bajał nam o tem złocie, co w Renie spoczywa.
Pamiętam.

DRUGI. To nie bajka, ale wieść prawdziwa.
Jam starszy—i niemało widziałem na ziemi:
Nibelungów widziałem! Skoki szalonemi
Jak po Renie pływały, rozsypując złoto!

PIERWSZY. A Loreley widziałeś? Z gorącą tęsknotą
Wysłuchałbym jej pieśni. Mówią, że gdy śpiewa —
Jeśli długo jej słuchać, woda cię porywa.

DRUGI. Ona ma pod swem okiem podwodne skarbnice
I śmiałków strąca w fale.

PIERWSZY. Nasi królewice
Czyli też zginą w wodzie?

DRUGI. Nie, burgundom z prawa
Należy się ta złota Nibelungów ława.
Toć oni z Nibelungów idą pokolenia,
A ci dostali skarby z bogów przyzwolenia,
Od Brunhildy.

PIERWSZY. Od onej bogini-królowej,
Co to srodze płakała śmierci Zygfrydowej.

DRUGI. Właśnie... I od tej śmierci królowie tej ziemi
Muszą się ofiarami wykupywać cnemi,
Aby na nowo zyskać do tych skarbów prawo.
Dziś noc ofiar. Dziś puszcza dziką huczy wrzawą
Upiorów, które błądzą w cieniu sosen czarnych.

PIERWSZY. Strach mi! A gdybym ujrzał które z tych cmentarnych
Widziadeł!...

DRUGI. Nic się nie bój. Kto skarbów nie widzi,
Nie ujrzy też i groźnych biesów zamogilnych;
Dobry duch go nie pieści—zły duch zeń nie szydzi,
Bo szatany jedynie czatują na silnych.

PIERWSZY. Kto wie—może i lepiej stać na miejscu nizkiem,
Aniżeli złych duchów wiecznie być igrzyskiem.

DRUGI. Nie wiem! Lecz świat jest taki. Jedni tak się rodzą,
Że wysoko po gwiazdach, na błękicie chodzą,
A inni znów po ziemi błądzą jak robaki.

PIERWSZY. To prawda. Wola boża, ale świat jest taki.
Burgundy sobie w lesie zaklinają bogów,
A my czuwamy tutaj u ich rzeki progów.

DRUGI. Ale też, co im grozi—pewnie żaden nie wie.
Podobno król tatarski w srogim teraz gniewie
Na Hagena, że uciekł, straszliwie się miota
I samby chciał się dobrać do reńskiego złota.

PIERWSZY. Tak-ci mówią, że światu krwawą grozi wojną—
I stąd na niebie znaków i złych wróżb tak rojno.

DRUGI. Atylla zaś najwyższą płynie na świat drogą.

PIERWSZY. Nie może być? Najwyższą?

DRUGI. Niby napowietrzną.

PIERWSZY. Jakto? Czyby na skrzydłach?

DRUGI. Podnieś w górę ślepie.
Patrz! Tam! Wojsko Atylli idzie drogą mleczną—

Tym gościńcem srebrzystym na błękitów stepie.
A te gwiazdki, od których drżą niebieskie szlaki,
To kopyta rumaków... Pędzą te rumaki,
Aż upadną na ziemię w niespodzianej chwili.
To jest szlak wojowników strasznego Atylli.
Mówię-ć—przyjdzie on do nas ze swym wielkim młotem.
Jabym raczej doń wyszedł z całem Renu złotem

PIERWSZY. Pewnie! Bo poco wojna?.. Nic po niej bie- [dactwu—
A radość jeno wielka zgłodniałemu ptactwu.

DRUGI. Książęta lubią wojnę—a i żołnierz prosty
Może znaleźć buławę—choć rany i posty
Do niej wiodą... Za młodu i jam był wojakiem
I piersi mam niejednym poorane znakiem.

PIERWSZY. Chciałbym mieć waszą mądrość. Dużoście [widzieli —
I ciekawie gadacie, aż się duch weseli..
Inaczejbym tu z nudów usnął, nim zaświta.
O, o, o!.. *(Nasłuchuje).*

DRUGI. Słyszysz odgłos końskiego kopyta?
Patrz—w bór—tam... Dwaj rycerze na jednym rumaku.
(Wstaje i z halabardą idzie ku lasowi).
Baczność! Stój! My tu straże na królewskim szlaku.

(Wchodzą na scenę WALGIERZ i HELIGUNDA. Mają jednego konia. Heligunda w stroju giermka).

SCENA II.

WALGIERZ. Słychajcie, dobrzy ludzie. Z krainy dalekiej
Śpieszym do ziemi gallów. Macie tu dukata—
Przewieźcie nas na łodzi na tamten brzeg rzeki—
Mnie—a wraz i młodzieńca tego—mego brata.

DRUGI STRAŻNIK. Nie możemy was przewieźć, szla- [chetni rycerze!
Książę Hagen na łowach.

WALGIERZ. Nie mówicie szczerze.
Jakto, łowy po nocy? Toż to czyste drwiny.

STRAŻNIK. Widać, że to panowie z dalekiej krainy—
Nie znacie obyczajów. Nocne polowanie...
Nie wiem, na co polują w noc o świętym Janie.
Lecz ze świtem dopiero zakończą się łowy.
Przedsię zakaz przewozu mamy tak surowy,
Że kto jeźdźca przepuści—ten gardłem zapłaci,
A ktoby gwałtem przeszedł—ten żywot utraci,

WALGIERZ. Dość tego. Puść na czółno—lub gardło ci [zduszę.

STRAŻNIK. Błagam, panie. Dostępu ja bronić ci muszę.

WALGIERZ. Z drogi!

HELIGUNDA. Walgierzu, przestań.

WALGIERZ. Zanim błyśnie zorza,
Musimy być daleko. Tutejsze bezdroża
Są dla nas niebezpieczne. Hagen—druh nam przecie.
Ani kroku!..

HELIGUNDA. O, proszę ciebie!

WALGIERZ. Drogie dziecię!

HELIGUNDA. Uspokój się. Tu żadne nie sięgną pogonie.
Jam znużo...ny. Wypocząć muszą nasze... konie...
Usiądziem pod tym dębem. Swobodnie pogwarzym...

WALGIERZ. Ucałujem...

HELIGUNDA. Popieścim...

WALGIERZ. Uściśniem...

HELIGUNDA. Pomarzym!
(Idą na przód sceny—a potem kładą się na murawie pod dębem).

WALGIERZ. Takie srebrne masz słowa — takie czyste [dźwięki,
Że mdleją od nich ruchy zagniewanej ręki.
Siądźmy, Hildo! Spocznijmy. Taka cisza w lesie,
Jakby duchy milczenia miały tu królestwo.

HELIGUNDA. Lubię takie milczenie. Dusza w jego kresie
Zdaje się jakby podwójne tworzyła jestestwo.

WALGIERZ. I ja lubię się kąpać w tej ciszy strumieniu.
Zdaje mi się, że więcej mądrości w milczeniu,
Niźli we wszystkich słowach, jakie usta głoszą.

HELIGUNDA. To prawda. Jabym mogła—milczenia roz- [koszą
Upojona—przez lata nie powiedzieć słowa...
A wciąż jam więcej—więcej kochać cię gotowa.

WALGIERZ. Ja nie mogę tak milczeć. Muszę co go- [dzina—
Co kwadrans— co minuta, gdy się czuję w niebie—
Mówić, szeptać i krzyczeć: kocham, kocham ciebie!—
Inaczej o kochaniu serce zapomina.
Patrzę na ciebie—patrzę... Jak dziwna przemiana
W pani mojej... Ty pierwej w stali wykąpana —
Żelazem cała lśniąca. Jesteś taka miękа—
Tak cicha... Jakiś smutek, zda się, ciebie nęka.

HELIGUNDA. Nie znasz mię jeszcze dobrze. *W kraju* [*mym jest morze*
Nieskończone, ponure, szerokie, bezdenne,
Które odbija w głębi swej *północne zorze*,
Jak zima lodowate, a razem płomienne.
Jam burzliwa, jak morze; jam jest tak surowa,
Jak północ—i jak zorza bywam purpurowa.
Ale morze też ciszę uroczystą miewa,
Nad nią tylko się czasem mignie biała mewa:
Taka cisza jest we mnie—taka białość we mnie.

WALGIERZ. Cisza się w tobie z wichrem złączyła wza- [jemnie.
Kocham cię, czyś jak zorza wieczorów płomienna—
Czyli cicha jak nocy bogini półsenna.
Nie tak jest w mojej ziemi. W mej ziemi są góry—
Czarne, a białem czołem oparte o chmury—
Granity twarde—orłów i kozic siedlisko...
Tu gołe krzesawice—tu znów turnie skalne—
W zielonych, miękkich muraw odziane pastwisko.
Powietrze tam pieściwe—jeno wiatry halne
Kiedy czasem zawyją—to świat w rumowisko
Pada w dzikich łoskotach... Tak ci syny Tatrów
Łagodne a z granitu, a czasem w ich duszy
Zatańczą huraganem szały halnych wiatrów:
Tylko od twoich źrenic ten granit się kruszy!

HELIGUNDA. Tym oto pocałunkiem niech się złączy ra- [zem
Granit gór niebotycznych z cymbryjskiem żelazem—
Wicher mórz z wiatrem halnym—i pomorskie cisze
Z milczeniem, co po turniach lekko się kołysze.

WALGIERZ. Połóż dłoń w mojej dłoni. Daj mi spojrzeć [w oczy—
Daj mi patrzeć w swą duszę bez granic i końca:
Nieskończoność w niej widzę — aż mój duch się [mroczy
I nie dosięgnie kresu źrenica błądząca.
Ty jesteś córą bogów. Rzeknij mi, dziewico,
Kto ci wzrok rozpłomienił taką błyskawicą?
Kto czar taki nieziemski nadał twej osobie,
Że się w niej biały anioł z orlim wiąże duchem?

HELIGUNDA. Tak mię stworzyły bogi. O wieczornej [dobie
Nieraz szepczą mi wiatry jesiennym podmuchem
Niezrozumiałe słowa—i z trwogą tajemną
Czuję strasznych przeznaczeń jakąś dłoń nade mną.

WALGIERZ Nie trwóż się, drogie dziecię. Ja ci jestem [tarczą—
Ten miecz i te dwie ręce do ochrony starczą.
A gdybym miał i życie położyć za ciebie...

HELIGUNDA. O, nie! Jedna mogiła oboje pogrzebie.

WALGIERZ. Nim ty zginiesz—ja zginę!

HELIGUNDA. Ja pierwej!

WALGIERZ. Ja pierwej!

HELIGUNDA. Widzisz! Oto mym słowom zaprzeczasz [bez przerwy—
I to pewnie me pierwsze gorzkie przeznaczenie.

WALGIERZ. Drwij ze mnie! Rozchmurz czoło. Widzę, [że milczenie
Na nic się nie zda... Lepsza—stokroć lepsza mowa.

HELIGUNDA. Słyszysz — słyszysz! Tam w głębi zahu- [czała sowa—
Jedna—druga! Złe wróżby.

WALGIERZ. Sen mara—Bóg wiara!
HELIGUNDA. Patrz, jaka dziwna losów mi przypadła [miara.
Czy takie zrękowiny miewają dziewczęta?
Czy od samej kołyski nie byłam wyklęta?
O rękę innych zdala przychodzą rycerze—
Rodziców o nią proszą—walczą na turniejach.
Jam Atylli oddana w haniebnej ofierze
I z jego ciżbą żywot przepędziłam w kniejach...
Dopiero ty... Pamiętasz—jakoś potajemnie
Przychodził pod me okna—i budziłeś we mnie
Lubą trwogę i rozkosz—że słodko i smutnie
Po nocy mi dzwoniłeś w swoję złotą lutnię...
Kryć musiałam swą miłość—drżałam o twe życie—
Wreszcie sen wlałam w wino—i spojoną tłuszczę
Gdy ujrzę—lecę z tobą przez olbrzymie puszcze—
Na kres świata.
WALGIERZ. Na serca mojego granicie
Czytaj więc: Heligunda od dziś wyzwolona
I od dziś jest szczęśliwa. Pójdź w moje ramiona—
Nie drżyj mi, bohaterko, jak mała ptaszyna.
Łzy widzę w twoich oczach! Jakaż łez przyczyna?
HELIGUNDA. Rozpływam się w tkliwości jakiejś nie- [skończonej,
A w sercu mojem dzwonią takie srebrne dzwony,
Jakby nowego życia błysło mi przedednie.
Płaczę—na pół w przeczuciach, a na pół bezwiednie
Zatracam samą siebie. Zdaje mi się czasem,
Że ten las—to jest duch mój, i twój duch—tym lasem
Wszystko zlewa się z sobą—i nie masz granicy
Pomiędzy mną a tobą—i tą puszczą ciemną.
WALGIERZ. Śpiewaj mi, śpiewaj jeszcze—i tak świeć na- [de mną,
Jak gwiazda. Złota jutrznia lśni mi w twej źrenicy...
Zda mi się, żeśmy kiedyś znali się przed wiekiem—
Czym wtedy był człowiekiem, czyli nie człowiekiem,
Nie pomnę. Byłaś moją. A gdym zszedł na ziemię,
Niepełną miałem duszę. Więc szukałem ciebie...
I próżnobym całował wszystko niewiast plemię;
Tyś jedyna—tyś moja, przeznaczona w niebie.
Nie mógłbym cię zamienić, jak nie mógłbym zmienić
Własnej duszy—bo tyś jest moją duszą własną—
W tobie jednej ja siebie mogę wypromienić—
W tobie jedyne słońce me... Jasno mi, jasno!
HELIGUNDA. Ach, jasno mi jest—dobrze... Przez groź- [ne zapory
Dusze się rwą ku sobie... O, jak szumią liście!
Kukułka kuka... DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

30

— Czy mogę wiedzieć: wywróżył co prawdziwego?

— Nie wywróżył nic na te wszystkie lata, które minęły.

— Nic...

W głosie jej spłynął dźwięk ulgi.

— Na te lata...

Spojrzała na niego i ujrzała, iż raz jeszcze twarz jego rozbłysnęła zapałem.

— Wywróżył, co będzie dopiero?—rzekła.

A on powtórzył:

— Wywróżył, co będzie dopiero.

Zatem szli już w milczeniu, aż póki nie ujrzeli purpurowych kwiatów bugenwilei, oplatających białe ściany palarni.

Domini zatrzymała się na wązkiej ścieżce.

— Czy on tam? — zapytała prawie szeptem.

— Niewątpliwie.

— Kiedym tu była pierwszy raz, wtedy grał Larbi.

— Tak jest.

— Chciałabym, żeby i teraz grał.

Cisza zdała się jej teraz nienaturalnie natężoną.

— Nawet jego miłość musi czasami odpocząć.

Postąpiła krok czy dwa, aż póki, lecz ciągle z odległości, nie zdołała zajrzeć nad nizkim murem pod najbliższem oknem do środka małego pokoiku.

— Tak jest, jest on tam—szepnęła.

Wróżbiarz siedział w kucki na podłodze, plecami zwrócony do nich, z głową opuszczoną. Widać było jedynie jego ramiona, okryte białym łachmanem. Poruszały się bez ustanku, lecz zlekka.

— Co on tam robi?

— Rozmawia ze swym przodkiem.

— Swym przodkiem?

— Piaskiem. Aluï!

Zawołał łagodnie. Postać powstała, bez szelestu i natychmiast, a twarz wróżbity uśmiechnęła się ku nim poprzez czerwone kwiaty. I znowu Domini miała wrażenie, że ciało jej jest szklanem pudłem, w którem jej myśli, czucia i pragnienia były uszykowane rzędem do oględzin przez tego człowieka; stąpiła atoli rezolutnie poprzez wązki otwór drzwi i siadła na jednej z kanapek. Hrabia Anteoni podążył tuż za nią.

Teraz dopiero zobaczyła, że na środku pokoju, na ziemi, były porozkładane symetryczne kupki piasku i że wróżbita zbierał sprawnie worek swemi giętkiemi i długiemi palcami.

— Widzi pani?—rzekł hrabia.

Skinęła głową, nic nie rzekłszy. Małe kupki piasku przykuły jej wzrok. Próbowała uważać je za głupstwo, a człeka, który je rozkładał—za szarlatana pustyni, lecz powstrzymaną została przez jakieś dziwne uczucie lęku, jak gdyby miał ją spotkać jakiś zjaw dziwny magiczny.

Wróżbita siadł raz jeszcze na piętach, rozpostarł swe palce nad kupkami piasku, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— *La vie de madame...* widzę je w piasku... *la vie de madame dans le grand désert de Sahara.*

Oczy jego zdały się wyciągać tajemnice z każdego zakątka jej istoty i rozkładać je na ziemi, jak rozkładał te kupki piasku.

— *Dans le grand désert du Sahara*—powtórzył hrabia Anteoni, jak gdyby lubił muzykę tych słów.—Jest tedy tu życie w pustyni dla pani?

Wróżbita opuścił palce na kupkę, cisnąc zlekka piasek na dół i na zewnątrz. Nie patrzał już na Domini. Satyr i badacz wyzierał z jego oczu i ciała. Zdało się, zapomniał o dwojgu patrzących i cały skupił się nad ziarnkami piasku. Domini zauważyła, że wyraz umęczony, który wystąpił na jego twarzy, kiedy go była spotkała na ulicy i kiedy patrzał w swój worek, powrócił mu znowu. Stłoczywszy piasek, rozpostarł worek, który go zawierał, u stóp Domini i sprawnie przenosił piasek do niego, zsypując wolno ziarna nad workiem, by tworzyły wzory. Potem, pochyliwszy się tuż nad niemi, patrzał przez dłuższą chwilę w milczeniu. Ospowata twarz jego zastygła, jak w kamieniu. Wycieńczone ręce jego, wyciągnięte nad ziarnami, były jak wykute z metalu. Ciało jego zdało się całkiem wyzutem z oddechu przy nieruchomości zupełnej.

Hrabia stał we drzwiach, jak był stanął, w otoczeniu purpurowego kwiecia nieruchomego. Tam dalej, rzędami uszykowanemi, stały nieruchome drzewa. W małej kadzielnicy nie płonęło dzisiaj kadzidło. Zamknięty świat zdał się tu być czarami związany.

Pomruk głuchy przerwał wreszcie ciszę. Pochodził on od wróżbity. Począł mówić szybko, lecz jak gdyby do siebie, a mówiąc, poruszył się znowu, pomieszał palcami wzory na piasku i począł tworzyć nowe: linie śrubowe, koła wężowe, szereg punkcików wzniesionych, które przypomniały Domini bryzgi, utworzone przez fontannę, linie krzywe, podłużne i kwadratowe. Tak szybko robił to i odmieniał, że zdało się—piasek miał życie, układał się samoistnie w desenie i jawił doraźnie błyski prawdy, która w nim była ukryta. A z ust jego wciąż wybiegały słowa i oczy były spuszczone, a ciało, prócz ruchu rąk i ramion, w zupełnem zesztywnieniu.

Domini przeniosła wzrok z wróżbity na hrabiego Anteoniego, który postąpił spokojnie i usiadł, wysuwając głowę, by słyszeć wróżbitę.

— To po arabsku? — zapytała szeptem.

Skinął głową.

— Czy pan to rozumie?

— Jeszcze nie. Teraz będzie mówił wolniej, wyraźniej. Poczyna zawsze w taki sposób.

— Niech mi pan to przetłómaczy.

— Dokładnie wszystko?

— Dokładnie wszystko.

— Cobądźby to być miało?

— Cobądźby to być miało.

Spojrzał na umęczoną twarz wróżbity i wzrok jego dziwnie spoważniał.

— Niech pan pamięta—powiedział mi pan, że jestem kobietą bez lęku—rzekła.

A on odrzekł:

— Cobądźby to było, będzie pani wiedziała.

Zatem znowu zamilkli. Stopniowo głos wróżbity urastał i stawał się jaśniejszym, miara słów była wolniejsza, jakkolwiek wciąż jeszcze dźwięk był tajemny i jak gdyby wewnętrzny, mniej podobny do głosu ludzkiego, bardziej do odległego głosu tajemnicy.

— Teraz już słyszę wszystko—rzekł szeptem hrabia.

— Cóż on powiada?

— Powiada o pustyni.

— Tak?

— Widzi wielką burzę. Poczekajmy chwilę.

Głos mówił kilka chwil i przestał, i raz jeszcze wróżbita pozostał całkowicie bez ruchu, z rękoma rozpostartemi nad ziarnami piasku, podobnemi do rąk, kowanych z metalu.

— Widzi wielki huragan w pustyni, jeden z najstraszniejszych, jakie kiedy szalały nad Saharą. Wszystko zaćmione. Pustynia zniknęła. Beni-Mora zakryte. Jest to dzień, lecz panują ciemności nocy. W ciemności tej widzi karawanę wielbłądów, oczekującą u kościoła.

— U meczetu?

— Nie, u kościoła. W kościele dźwięki muzyki. Ryk wichrów, poryk wielbłądów miesza się z temi dźwiękami i zgłusza je. Przez chwilę nie słyszy ich. Robi to wrażenie, jak gdyby pustynia była gniewna i chciała zdusić muzykę. W kościele poczyna się pani życie.

— Moje życie?

— Pani życie prawdziwe. Mówi on, że teraz pani żyje w pełni, że dotychczas miała pani jak gdyby zawój na duszy, podobny do łona, które osnuwa niemowlę.

— On to powiada!

W głosie jej był dźwięk głębokiego wzruszenia.

— To wszystko. Ryk zawieruchy pustynnej zaćmił muzykę kościelną—i ciemność dokoła.

Wróżbiarz poruszył się znowu i tworzył nowe desenie na piasku z pośpiechem gorączkowym—i znowu począł mówić szybko.

— Widzi teraz sznur wielbłądów, który oczekiwał u kościoła, jak rusza w podróż pustynną. Burza nie ucichła. Przechodzą przez oazę do pustyni. Widzi je, zdążające ku południowi.

Domini wychyliła się naprzód na kanapie, patrząc na hrabiego Anteoniego zponad pochylonej głowy wróżbity.

— Jaką drogą?

— Drogą, którą tuziemcy zwą szlakiem do Tombuktu.

— Ależ to moja droga!

— Na jednym z wielbłądów jest *palanquino*, jakiego wielcy szeikowie używają do przewożenia swych żon, w palankinie dwoje ludzi, osłoniętych od burzy firankami. Trwają w milczeniu, słuchając ryku wichrów. Jednym z nich jest pani.

— Dwoje!

— Dwoje.

— Lecz któż jest drugi?

— Nie może go dojrzeć. Czarność burzy jest jak gdyby głębsza dokoła drugiej osoby i ukrywa ją przed nim. Karawana ciągnie dalej i niknie w burzy i osamotnieniu.

Domini nic nie odrzekła, lecz patrzyła z góry na chudą postać wróżbity, który usadowił się u jej kolan. Byłoż to lico dziobate licem proroka? Skóra ta i kości czy były siedzibą duszy jasnowidza?

Wróżbita poruszył się raz jeszcze. Palce jego przez kilka chwil krzątały się pilnie koło piasku. Poruszały się atoli teraz wolniej, i słowa nie ulatywały mu z ust. Domini i hrabia pochylili się, żeby widzieć, co on poczyna. Wyraz umęczenia na twarzy jego powiększał się. Wyraz ten był straszny i robił na Domini wrażenie niezatarte, nie mogła się bowiem obronić, by nie łączyć go z widmem swej przyszłości, co znowu wzbudzało w niej bezkształtne zmory rozpaczy. Patrzyła na ten piasek, jak gdyby ona też była zdolną widzieć, i nic nie mówiła, patrzyła tylko, aż póki nie została prawie, jak zahypnotyzowaną. Ręce wróżbity trzęsły się teraz, gdy robił nowe wzory, a pierś jego wznosiła się pod białą odzieżą. Nakreślił teraz na piasku trójkąt i począł mówić.

Hrabia pochylił się, aż prawie ucho jego dotykało warg wróżbity, a Domini wstrzymała oddech. Karawana, porzucona śród pustki piasków bezbrzeżnych, śród burzy i ciemności—gdzież jest teraz? Jaki los ją spotkał?

Pot ociekał po twarzy wróżbity, spadał mu kroplami na ubranie, na ręce, na piasek, znacząc ciemne ślady. A głos jego biegł wciąż szeptem chrapliwym, aż przyprawił Domini prawie o gorączkę zniecierpliwienia. Ujrzała na twarzy hrabiego odbity wyraz umęczenia wróżbity. Czy wyraz ten był także i na jej twarzy? Węzeł tajemny—to pewne—łączył ich razem w tym małym pokoiku, okolonym zwartą strażą drzew wielkich i ciszą natężoną.

Spojrzała na trójkąt na piasku. Był on bardzo wyraźny, wyraźniejszy, niż inne desenie, które był układał. Co wyobrażał ten trójkąt? Szukała w myśli, myśląc o pustyni, o swem życiu tutaj, o życiu ludzi pustyni. Zali nie kształt to namiotu? Tak jest, był to namiot, jej namiot, rozbity gdzieś w pustyni, zdala od siedzib ludzkich. Ręce trzęsące się uspokoiły się teraz, głos był spokojny, lecz pot nie przestawał opadać kroplami na piasek.

— Proszę mi powiedzieć!—rzekła szeptem do hrabiego.

On usłuchał jej, lecz zdało się, że mówił tym razem z wysiłkiem.

— Daleko stąd w pustyni...

Zatrzymał się.

— Co, co?

— Bardzo daleko stąd, w miejscowości piaszczystej... Są tam zwa-

ły piasku niezmierzone, z obu stron zwały ogromne, jak góry. Tuż w pobliżu błyszczą ognie liczne. Są to światła na rynku miasta pustynnego. Pomiędzy zwałami, wraz z wielbłądami, rozstawionemi z tyłu, znajduje się namiot...

Domini wskazała palcem na trójkąt, nakreślony na piasku.

— Wiem o tem — rzekła szeptem.—To mój namiot.

— Widzi on panią tutaj, jak widział był w palankinie. Lecz obecnie jest noc i pani jest całkiem samotna. Nie śpi pani. Coś utrzymuje panią w czuwaniu. Jest pani podniecona. Wychodzi pani z namiotu na wały piaszczyste i spogląda ku ogniom miejskim. Słyszy on szakale, wyjące zewsząd dokoła i widzi szkielety zmarłych wielbłądów—białe w księżycu.

Domini wstrząsnęła się mimowoli.

— W duszy pani jest coś potężnie wezbranego. Powiada on, iż jest to, jak gdyby wszystkie palmy pustyni zniosły razem swe płody i jak gdyby we wszystkich wyschłych miejscach, gdzie ludzie i wielbłądy lat ubiegłych umierali ze znoju, wytrysły źródła ożywcze, i jak gdyby piasek był okryty milionami kwiatów złotych, dużych, jak kwiaty aloesowe.

— Ależ to szczęście wielkie, szczęście!

— On powiada, że to wielkie szczęście.

— Dlaczego tedy ma on wygląd tak straszny? czemu tak ciężko oddycha?

Wskazała na wróżbitę, który trząsł się przykucnięty i dyszał ciężko i wciąż opływał potem, jak w agonii.

— Jest jeszcze coś nad to — rzekł hrabia wolno.

— Proszę mi powiedzieć.

— Stoi pani jedna na zwałach piaskowych i spogląda ku miastu. Słyszy on uderzenia tamtamów i krzyki odległe, jak gdyby to było święto weselne. Widzi postać śród piasków, zdążającą ku pani.

— Kto to taki?—zapytała.

Hrabia nie odpowiedział. Lecz Domini nie pragnęła, żeby jej odpowiedział. Zapytała bez myśli o tem, co mówi.

— Pani patrzy na tę postać. Idzie ona ku pani, stąpając ciężko.

— Stąpając ciężko?

— To on tak powiada. Daktyle poskręcały się na palmach, strumienie wyschły, kwiaty opadły, w pustyni—śmierć. Tamtamy w mieście ucichły i ognie czerwone zniknęły. Cisza i ciemność dokoła. I oto widzi on...

— Proszę przerwać! — rzekła Domini prawie gwałtownie.

Hrabia siadł, patrząc na nią. Ściskała sobie mocno dłonie. W ciemnem jej licu, z ciężkiemi powiekami i mocnemi, szlachetnemi wargami, widać było walkę, zatarg jakiś pomiędzy pragnieniem i jakąś bardziej bierną, lecz stanowczą odrazą. Po chwili rzekła znowu:

— Proszę, nic więcej nie chcę już słyszeć.

DCN

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× Pośród nagrodzonych w wiedeńskiej Akademii sztuk pięknych uczniów znajduje się dwóch polaków: Bolesław Jan Czedekowski z Wojniłowa w Galicyi, który studyował malarstwo na kursie prof. Pochwalskiego i otrzymał specyalną nagrodę szkolną,—oraz Franciszek Józef Kucharczyk z Rzepiennika Strzyżowskiego, uczeń kursu rzeźby profesora Kundmanna; otrzymał on stypendyum państwowe na podróż.

Pomnik Kościuszki w Chicago odsłonięty zostanie w połowie września. Antoni Popiel, twórca pomnika, wykończył już ostatnią grupę, mającą zdobić cokół; przedstawia ona apoteozę wolności w postaci młodego żołnierza amerykańskiego ze sztandarem w ręku, rozcinającego mieczem pęta, krępujące ręce młodzieńca, który z wdzięcznością spogląda w twarz swego oswobodziciela. Komisya artystyczna komitetu pomnikowego w Chicago przyjęła pracę z wielkiem uznaniem, a model grupy oddano już do odlewu w bronzie. Postać główna, wyobrażająca Kościuszkę w mundurze generała St. Zjednoczonych, jest już zupełnie wykończona, również grupa „Racławicka", która zdobić będzie cokół od strony Europy.

Z literatury francuskiej.

× *Michał Corday. „Małżeństwo przyszłości".* („*Le mariage de demain*") Podkład społeczny daje autor swojej powieści, usiłuje bowiem zbudować „złoty most" ponad przepaścią kastową, dzielącą burżuazyę i świat robotniczy. Tym mostem ma być szczęśliwy związek małżeński. Młody lekarz poślubia robotnicę, która pracuje w fabryce jego wuja. Całe otoczenie lekarza oburza się na niego, z wyjątkiem matki, która mu dopomaga w kształceniu robotnicy na damę światową. Pogardzana przez rodzinę, „dziewczyna z ludu" ocala ją w końcu od groźnego niebezpieczeństwa—podczas strajku, który wybuchł w fabryce, bierze na siebie rolę pośredniczki i powstrzymuje dawnych towarzyszów pracy od napadu na dom fabrykanta, który już pochwycił broń, by do robotników strzelać. Autor nie zdobywa się na dość silne argumenty, by przekonać czytelnika o słuszności swojej tezy. Fakt ocalenia rodziny od zemsty robotników nie wystarcza do wykazania, że takie mieszane małżeństwo ma być ideałem stadła przyszłości. Nadto, jako robotnica, bohaterka była pożyteczną jednostką w społeczeństwie, jako pani doktorowa zaś rozkazuje tylko służbie i składa wizyty.

× *O. de Traynel. „Odkrycie d-ra Faldrasa".* („*La découverte du dr. Faldras*"). Zagadnienie przedłużenia życia stanowi treść książki niniejszej. Dużo w niej zajmujących powikłań i sensacyjnych pomysłów, ożywiona jest nadto duchem szowinistycznego patryotyzmu, nienawiść do niemców wyczuwa czytelnik z każdej niemal stronicy. Rzecz dzieje się w r. 1922-m.

Z literatury włoskiej.

× *Robert Bracco. „Grymasy wesołe i smutne".* („*Smorfie gaje — Smorfie tristi*"). Nowele, w dwóch tomach zebrane, usprawiedliwiają swój tytuł naturą skreślania charakteru postaci. Nie są to typy wystudyowane wszechstronnie, wykończone; autor niejako pochwycił je na gorącym uczynku, ukazał charakterystycznym wyrazem oblicza, wywołanym nagłem radosnem lub smutnem—przeważnie niespodzianem—wzruszeniem. Niektóre z tych nowel mogłyby znaleźć miejsce w „Dekameronie". Ale nawet w najzuchwalszych autor umiał zręcznie unikać stawiania kropek nad *i*.

× *Luigi Campolonghi. „Nowy Izrael"*, („*La nuova Israelk*"). Książka niniejsza, zaopatrzona jeszcze w drugi tytuł: „Księga tłumów wędrownych", posiada wprawdzie wady zbyt pośpiesznej kompozycyi i niewystarczającego umotywowania niektórych wypadków, lecz natomiast wykazuje ze zdumiewającą jasnością, jaka siła poezyi tkwić może w wydarzeniu tak dzisiaj rozpowszechnionem, jak strajk. W danym razie chodzi o strajk rolny w prowincyi Parmeńskiej — autor umiał nagromadzić dramatyczne momenty, jaskrawe kontrasty i stworzyć cały świat postaci, pełnych życia, poddających się namiętnościom, ulegających wrażeniom.

TREŚĆ NUMERU 30-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Atylla. *A. Lange.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza. №8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie